

Wokalne fajerwerki na piłkarskiej murawie

WROCŁAW | Nawet w dobie kryzysu można zrobić na stadionie wielkie widowisko operowe w europejskim stylu

JACEK MARCZYŃSKI

Dwa przedstawienia „Balu maskowego” Giuseppe Verdiego na Stadionie Olimpijskim we Wrocławiu zostały zdominowane przez inne wydarzenie rozgrywające się pomiędzy nimi: mecz Polska – Czechy. Ale opera nie została pokonana przez futbol, swoje stadionowe trybuny wypełniła niemal w komplecie. Dziewięć tysięcy widzów co wieczór to wynik porównywalny z renomowanymi produkcjami operowymi na Zachodzie: festiwalami w Weronie (widownia na 15 tys. miejsc), Bregencji (6,5 tys.) czy Orange (9 tys.).

Opera Wrocławska zaimplementowała do Polski pomysł na takie widowiska kilkanaście lat temu i do tej pory pozostaje krajowym liderem, choć inne teatry próbują się w jej ślady. W przeciwieństwie do nich nie oferuje widzom inscenizacyjnego półproduktu, nawet gdy spektakl trzeba zrealizować za mniejsze pieniądze, jak to można było dostrzec w tym roku. Dekoracje zrobiono więc mniej monumentalne, niemal całość zdarzeń rozegrano na wielkiej tarczy zegara, ustawionej na płycie stadionu. Resztę zastąpiły barwne wizualizacje na gigantycznym telebimie i efektowna gra świateł nadająca



♦ Wielka tarcza zegara służy za niemal całą scenografię

poszczególnym scenom indywidualną, dominującą barwę. Dla widzów oczekujących ekstrakcji były fajerwerki i żywe konie. „Bal maskowy” ma dwie wersje – z akcją rozgrywaną się na dworze króla szwedzkiego

lub w Bostonie. Tę drugą wymusiła ówczesna cenzura, która nie chciała dopuścić na scenę utworu o zabójstwie koronowanego władcy. Verdi kończył bowiem swą operę w momencie, gdy Europa żyła nieudany

machem na cesarza Francuzów, Napoleona III.

Twórca wrocławskiej inscenizacji Michał Znaniecki nie poszedł śladem pomysłu Verdiego ani nie dostosował się do założeń cenzury, która nakazała zamienić króla na gubernatora XVII-wiecznego Bostonu. Wykreował własny świat z nieokreślonej przeszłości – bardziej dziki i tajemniczy. Trawiasta murawa stadionu stanowiła naturalne tło akcji, a przepowiednie czarownicy Ulryki nie raziły tanią baśniowością.

Taka interpretacja nie dodała jednak „Balowi maskowemu” nowych znaczeń. Pomysł z zegarem, którego wskazówki nieuchronnie przybliżają tragiczny finał, był zbyt oczywisty. Reżyser (i twórca scenografii zarazem) zadowolili się wymyśleniem efektownych obrazów, uważając, że tego oczekuje publiczność w plenerze.

Atutem tegorocznej stadionowej premiery Opery Wrocławskiej była sama muzyka. Jeśli zaakceptujemy fakt, że mikroporty zawsze nieco przetwarzają głos, a płynące z głośników brzmienie orkiestry ulokowanej 100 metrów od sceny nie jest tak soczyste jak w teatrze, musimy docenić „Bal maskowy”. Obaj dyrygenci – Tomasz Szreder (z orkiestrą) i Bassem Akiki (na stadionie) – współpracowali bardzo zgodnie.

Wokalnie spektakl zdominowały panie: obdarzona dzwicznym sopranem Radostina Nikołajewa (Amelia), Anna Lubańska (Ulryka), a zwłaszcza gwiazda premiery Aleksandra Kubas (Oscar) – muzyczna, perfekcyjna i pięknie śpiewająca. Z kobiecym teamem konkurował jedynie włoski baryton Giuseppe Altomare jako Renato, zabójca władcy. ■